Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. No. 50. Leszno, dnia 17. Czerwca 1837.



Synowie Edwarda.

Opis wystawy sztuk pięknych w Berlinie 1836 roku. *)

Żadna z wystaw, które kiedykolwiek miały miéjsce w Berlinie, niemoże stanąć na równi z ostanią, tak pod względem ilości, jak i jakości wytwornych dzieł sztuki. Nie Prusy jedynie, nie Niemcy, lecz Europa cała była powołaną do zbogacenia tego chwilowego zbioru utworów sztuki wieku naszego. Wszystkie narody stanęły razem w dziełach, czystym zwierściadłem ich ducha uczuć i charakteru będących, wszystkie na siebie zazdrosném spojrzały okiem, ażeby silniéj i pewniéj w dalszéj postępować drodze.

Przedsięwziąłem tylko dzieła malarstwa i rzeźbiarstwa opisać; pomijając inne utwory sztuki, które bardziéj do sztuk mistrzostwa, jak do sztuk pięknych należą.

Malarstwo, to ulubione dziecię imaginacyi, które urągając się przestrzeni, martwéj płaszczyznie, rozmiar, barwę, życie i urok nadaje; wystąpiło tutaj w dwoistéj postaci. Najprzód zapatrując się na wszystko ziemskie, na wszystko co nas otacza, okiem mdławém, słabém, melancholiczném; okiem, które wewnątrz własnego jestestwa widzi całą rzeczywistość za jego granicami znajdującego się świata; okiem prawie bez ognia. Powtóre występuje czynnie, wystawiając rzeczywistość, za obrębem naszego wewnętrznego czucia istniejącą, w kolorach żywych z namiętnością i ogniem. Twórcami tych dwóch, sobie przeciwnych postaci malarstwa, są dwa przeciwne narody, Niemcy i Francuzi.

Liczne dzieła, które z Paryża przysłano, tą razą w krajobrazach celują. Kilka obrazów historycznych, odznaczają się dziwną energiją i żywością przedstawienia; pomiędzy którémi pierwsze zajmuje miejsce obraz **Roqueplanda** wystawiający jednę scenę z Hugonotów, podczas nocy Śgo Bartłomieja. Diana Furgis, na kolanach zaklina swego kochanka Mergy, ażeby porzucił błędy swéj wiary: w całém jéj położeniu, w położeniu kochanka, nieszczęśliwie wyglądającego przez okna na tłumy ludu, które go oczekują, panuje tak namiętne uczucie, tak silna żywość, że obraz ten chyba tylko starym Rembrandta, Wandyka, i Rubensa dziełom, miéjsca ustąpić może. Obraz Boulangera, w którym także nic prawie do życzenia niepozostaje, wystawia 19.letniego Mikołaja Poussin, jednego z najlepszych francuzkich malarzy, który opuściwszy zamek swojego pana w Poitou, gdzie się z nim jak najokrutniéj obchodzono, na drodze do Paryża, w największéj nędzy i rozpaczy, spotyka w szynkowni werbujących żołnierzy, i do wojska się zaciąga. Młody Poussin, ze smutną, lecz pełną szlachetności twarzą, spogląda na dwóch, rubasznie śmiejących się przyszłych jego towarzyszów; w jego spojrzeniu jest coś wzniosłego, co cudną tworzy sprzeczność, z ordynaryjną wesołością opartego sąsiada. Ciało młodzieńca jest na wpół obnażone, lewą ręką pokazuje dzielność i muszkularność prawicy. Na jego twarzy gości posępna bladość; tymczasem policzki towarzyszów są ozdobione rumieńcami żołnierskiego wesela. Wszystko w tym obrazie, (przedmiot z rzeczywistego wzięty świata), wystawia w rzeczywistych kolorach z męzką energiją i mocą.

Niemieckie obrazy, mają więcéj delikatności pędzla; lecz ozdoby zewnętrzne, ćmią częstokroć wielkość wewnętrznéj myśli, i przykrywają jéj wdzięki mgłą drobnych wykończeń; kiedy tym czasem francuzkie wszystkie dzieła usuwają się od nieskończoności wypracowań zbytnich, lecz usiłują dzielność, moc i wielkość wewnętrznego znaczenia, w śmiałych zarysach, na jaw wystawić.

Lessinga i Hildebrandta roboty stoją na czele wszystkich utworów niemieckiéj sztuki. Pierwszego najlepsze dzieło, wystawia każącego Hussytę: orszak około niego stojących, wzruszenia i podziwienia pełnych słuchaczy, zdaje się jego mową być oczarowanym. Mówca jest młodzieniec w sile wieku, którego lice znojem poorane; rumieniec zniknął przed szałem namiętności, czoło się zmarszczyło trudami niepokoju, na usta, długą mową spiekłe, spada wąs ciemny. Wszystko zda się martwe, tylko w oku tleje życie, z oka bucha ogień, który twarz całą na popioł zamienił, z oka wytryska sztylet wzruszenia, namiętnością rzucony, który serce zdziwionym widzom przeszywa. Mówca w prawicy swéj dzierży kielich, lewica podniesiona zdaje się pomagać gwałtownie cisnącym się myślom, których natarczywości już usta wystarczyć nie mogą; zdaje się grozić, zdaje się wlewać nadzieję w serca zdumionych słuchaczy. Wszystko w około, jak skamieniałe piorunem jego mowy: słowiańskie, szlachetne słuchających Czechów twarze, pobladły: ponura smętność w całym panuje orszaku: jednemu topór z rąk wypadł, drugi mocą wzruszenia do dębu przykuty; ten ściska wierną maczugę w swéj dłoni, tu znowu niewiasta z niewinném dziecięciem, pada na kolana; tam starzec, wsparty na orężu, z oczyma ku mówcy zwróconemi, zdaje się każde jego słowo najchciwiéj pożerać: wszyscy wielkością myśli, które z ust mówcy płyną, spojeni dziwną zgodą namiętnego uczucia, najcudowniéjszy tworzą obraz.

Hildebrand w obrazie, wystawiającym zabójstwo dzieci Edwarda IV., króla angielskiego, doprowadził sztukę malarstwa do najwyższego stopnia i wykończenia. Wszystkie najdrobniéjsze szczegóły tego obrazu są zachwycające. Dziecinny rumieniec, snem niewinnym rozgrzany, usta rozwarte i lekki ziunące oddech, wdzięcznie pomieszane włosy, xiążęca odzież dziatek, drobne ich rączki i t. d., są tak pełne szczegółowéj

*) Redakcya wstrzymała się kilka miesięcy z umieszczeniem tego artykułu w swém piśmie, a to dla tego, ponieważ chciała razem dać kopią najpiękniéjszego na całéj berlińskiéj wystawie, obrazu: *Synowie Edwarda, IV.* którą dopiero teraz otrzymała.

prawdy, że niekiedy złudzenie prawdziwéj natury sprawiają. Twarz Tyrela, który pomimo wyrazu okrutnego i krwi chciwego zabójcy, ma pewien odcień żałości i mimowolnéj zgryzoty: cieszy jeszcze widzów nadzieją, że litość nad chęcią zbrodni przemoże. Cały ten obraz, jest dziełem szczeréj prawdy, pewnego sposobu zapatrywania się na rzeczy i delikatnego uczucia.

Porównywając wymienione obrazy między sobą, zdaje się, że wszystko co tylko mężkiém, namiętném, burzliwém i zachwycenia pełném, w obrazie być może, wszystko to znajduje się w utworach francuzkich: co tylko tkliwém, niewinném, spokojném i wdzięku pełném w dziełach sztuki malarstwa objawiać się daje, to się w ostatnim przedstawia obrazie. Niemasz kobiety, któraby z rozczuleniem nań nie patrzała; niemasz młodzieńca, któryby tamte obojętném ominął okiem. Pomiędzy témi dwoma sprzecznościami, obraz Lessinga środkowe zajmuje miéjsce. Namiętny i tkliwy zarazem, mężki ale posępny, już to słodyczy i niewinności dziecinnéj pełen, to znowu życia goryczą zatruty: równe kobiet jak młodzieży ubóstwienie.

Tu należałoby jeszcze wspomnieć o dziełach Jana Maess z Rzymu, o obrazach Aurelego Robert, Ludwika Groselaude z Neufszatel, o robotach Edwarda Steinbrück, Hermana Stilke z Dysseldorfu, Henryka Mücke, Leopolda Robert, Edwarda Magnus z Berlina, i wielu innych, których dla krótkości miéjsca pominąć muszę.

Do obrazów historycznych możnaby jeszcze policzyć obrazy mniéjsze, wystawiające sceny życia prywatnego rozmaitych klass ludzi. W tym rodzaju najbardziéj się R. Jordan i E. Pistorius odznaczają; pierwszy, zwykle wybiera za przedmiot swojego pędzla, zdarzenia, życiu mieszkańców krain nadmorskich właściwe: drugi rzemieślnikom miéjskim swój talent poświęca. Do malarzy w tym rodzaju liczy się, F. E. Meyerheim, A. Kretschmer, H. Kriger, L. Blanc, i wielu innych, których Berlin jest wspólną siedzibą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Józef Miączyński.

(Dalszy ciąg.)

Tym czasem nastąpiła rewolucya; Dumouriez jeszcze znaczniéjszą grał rolę, którą zmieniał po kilka razy. Na krótkiém jego ministerstwie wojny skorzystał jednak marszałek Miączyński; dekret wygnania nie tylko przestał na nim ciężyć, ale stopień znaczny był mu udzielony w armii północnéj, pod dowództwem Dumouriera zostającéj. Tam dawszy dowody odwagi i niepospolitych zdatności, wiele zasług położywszy tak urządzeniem legii ardeńskiéj, jako i nadaniem wojsku francuzkiemu nowéj broni, strzelców konnych, otrzymał stopień jenerała brygady, a w Lipcu 1792 roku krzyż wojskowy. *)

Lecz te wszystkie pomyślne na pozór wypadki, torowały tylko drogę Miączyńskiemu do okropnéj bez honoru śmierci. Wiadomo z dziejów ówczesnych, iż Dumouriez intrygami i zmiennością swoją, straciwszy zaufanie najprzód u rządu królewskiego, późniéj u rządu rzeczypospolitéj francuzkiéj, a dumny z zwycięstw swoich w Holandyi, knował wielkie zamysły, zwłaszcza od śmierci Ludwika XVI. Chciał, jak piszą, zwalić rząd istniejący we Francyi, ogłosić się najprzód sam dyktatorem, a potém zaprowadzić monarchią konstytucyjną, i oddać koronę młodemu xięciu de Chartres. **) Ale nie była jeszcze pora, i większych trzeba było talentów, ku dokazaniu tak wielkich rzeczy; tém bardziéj, iż parę bitew przegranych z własnéj winy Dumouriera nadwerężyły mocno sławę jego wojskową. Mimo tego zaczyna stósowne zmowy z jenerałami austryackimi, wydaje rozkazy jenerałom swoim do opanowania fortec; lecz mieszają mu się szyki, zamiar się odkrywa przed wykonaniem, on sam chroni się najprzód do Szwajcaryi, późniéj do Anglii; ogłaszają go zdrajcą ojczyzny, a podwładni jego padają ofiarą; między nimi zaś na pierwszém miéjscu Józef Miączyński. On sam utrzymywał w czasie, i żona jego utrzymuje dotąd, jako nie był w zmowie z Dumourierem, i bynajmniéj nie myślał o zamachach przeciw rzeczypospolitéj francuzkiéj; przecież zdanie powszechne jest inne, a wykaz sprawy jego, który tu w krótkości się umieszcza, najlepiéj wykryje, kto ma prawdę.

Jenerał Miączyński zostając przy armii północnéj w Belgii, pod rozkazami Dumouriera, wkroczył nagle w granice Francyi z dywizyą, któréj dowodził, i dnia 4go Kwietnia roku 1793 wszedł do Lille. Tam przez jenerała komendanta Duval przytrzymany, odesłany został pod strażą do Paryża, i oddany pod sąd, jako spólnik Dumouriera. Na dniu 17. Maja t. r. stawiony był przed trybunałem rewolucyjnym, a pytany o imię, nazwisko, wiek, dostojność, miéjsce rodu i pobytu, odpowiedział: że się zowie Józef Miączyński, ma lat 42, jest jenerałem brygady i wojsk rzeczypospolitéj, Polakiem, i mieszka przy wojsku.

Akt oskarżenia prokuratora publicznego zawierał co następuje:

„Miączyński obwiniony jest o wspólnictwo w spisku Dumouriera. Opuścił Belgią, stanął w Orchies, na ziemi francuzkiéj; tam odebrał list jenerała Dumouriez pod datą 1. Kwietnia, z rozkazem ruszenia do Lille skoro świt, z dy-

*) Zacny oficer, pułkownik Dembiński, który służył w owym czasie w wojsku francuzkiém pod Miączyńskim, mówił mi o nim, iż to był odważny i zdatny jenerał, i bardzo lubiony, ile że był wesoły, dowcipny, co się zowie bon vivant, i dobrze mówił po francuzku.

**) Dzisiéjszy król francuzki.

wizyą, któréj dowodził, wzięcia tego miasta, za porozumieniem się z jenerałem komenderującym Duval, przytrzymania komisarzy konwencyi tam będących, władz miéjscowych, skarbu publicznego, i ruszenia potém na Cambrai. Ten list Dumouriez kończył się temi słowy: „Sciskam cię, mój kochany Miączyński, a do wybawienia Francyi rachuję na ciebie i na twoje wojsko.“

Miączyński tak odpisał Dumouriemu, podpisując tylko litery M. J., „Kochany jenerale, odbieram 2. Kwietnia, o ósméj rano list i rozkaz twój, choć z daty się wykazuje, iż dziś w nocy odebrać go miałem. Ściskam cię, jenerale, i gdybym mógł, kochałbym cię jeszcze więcéj za to, iż tak dzielnie poczynasz sobie. Ręczę za moje wojsko; ruszyłem z niém o dziewiątéj ku Lille, wypełnię twoje rozkazy, albo zginę.“

Miączyński dopełniając rozkazów Dumouriez, stanął pod Lille z dywizyą swoją, i wszedł do miasta na czele 150 ludzi, w celu zmówienia się z jenerałem Duval. Dowiedziawszy się, że tenże jest na ratuszu, poszedł tam i chciał koniecznie na osobności z nim mówić; czego jenerał Duval odmówił, żądając, aby głośno przed władzami zebranemi oświadczył, co miał do powiedzenia. Wtedy pytany zkąd dostał rozkaz przyjścia do Lille, odpowiedział: „od jenerała Dumouriez ustny przez jego adjutanta.“ A gdy mu powiedziano, iż list mieć musi od tegoż jenerała; zmięszał się, i pokazał list powyższy, który w obec był czytany.

Z tych wszystkich czynów okazuje się, że Miączyński wspólnie z Dumouriez, dopełniając jego rozkazów, chciał obalić rzeczpospolitą, przywrócić władzę królewską we Francyi, i ułatwić nieprzyjaciołom wtargnienie w jéj granice.“

Kilku świadków znakomitych stopni, potwierdziło oskarzenie, dodając jeszcze inne szczegóły; jakoby Miączyński powiedział, odebrawszy list Dumouriera: „Otóż takie rozkazy lubię; wykonam je ściśle.“ A potém: „Zamiar to gwałtowny, ale raz skończyć potrzeba.“ Nareszcie odczytano rozkaz dzienny Dumouriera do armii północnéj, zagrzewający wyraźnie do odmiany rzeczy we Francyi, do przywrócenia porządku, a rozkaz ten był podpisany: „Jenerałowi Miączyńskiemu, dowódzcy flankierów po lewéj, w Orchies.“

Na te wszystkie zarzuty, świadectwa i dowody, Miączyński odpowiadał słabo, obstając tylko zawsze przy niewinności swojéj; mówiąc, że Francyi, ojczyzny przybranéj, zdradzać niemógł, ani też targać się na rzeczpospolitą, będąc sam przez całe życie republikaninem. Mówił także, że nie jego w tém wina: iż Dumouriez usadził się na skompromitowanie go; że jeśli wkroczył na ziemię francuską, jeśli ruszył z wojskiem do Lille, i wykonał na pozór rozkazy jenerała, zrobił to jedynie dla oszukania go, i ujścia jego władzy wraz z dywizyą.“

Ta obrona Miączyńskiego, nie uczyniła żadnego wrażenia; przysięgli wyrzekli fatalne słowo: winny, a sąd rewolucyjny zebrawszy w cztery powody zarzuty na nim ciążące, i przytoczywszy stósowne artykuły prawa, skazał Józefa Miączyńskiego na śmierć, dobra jego, jeśliby miał jakie, na konfiskatę, i polecił wykonanie kary bez zwłoki, nazajutrz w Sobotę, 18go Maja, na placu rewolucyi, w Paryżu.

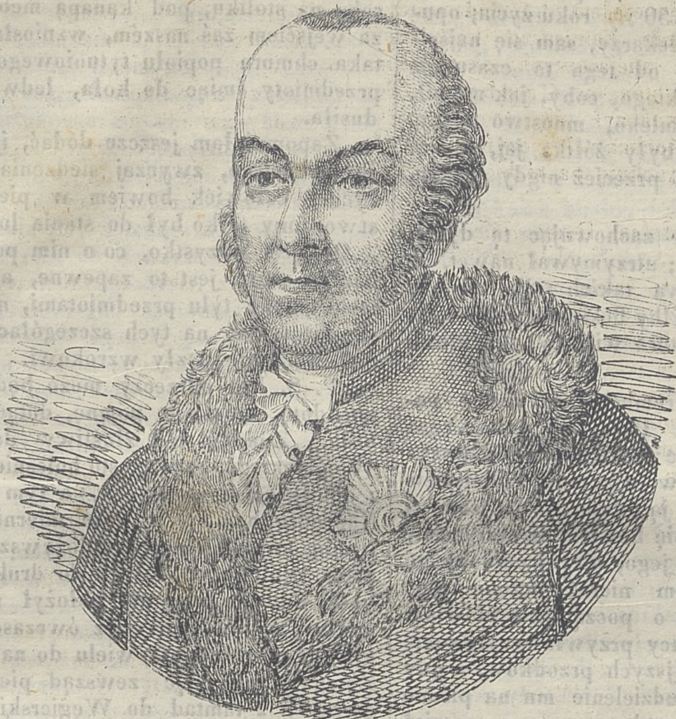
Miączyński, wysłuchawszy spokojnie czytania wyroku, powstał żywo i rzekł: „Obywatele przysięgli, obywatele sędziowie, wskazaliście na śmierć niewinnego; rozkazujecie ściąć głowę temu, który krew swoję za rzeczpospolitą wylewał. Pójdę na rusztowanie z tąż zimną krwią, z jaką mnie tu widzicie. Oby krew moja ustalić mogła (obracając się ku publiczności) szczęście ludu rządzącego!“

Nazajutrz, kiedy już wszystko było gotowe do wykonania wyroku śmierci na Miączyńskim, prezes konwencyi narodowéj odebrał od niego list następujący:

„Obywatelu prezesie! mówiłem i powtarzam: nie byłem wspólnikiem spisku Dumouriera, ale posiadałem o tyle zaufanie jego, iż mogłem doskonale poznać wszystkie jego myśli. Ośmielam się przeto, nim umrę, prosić konwencyą o pozwolenie odkrycia jéj rzeczy najważniéjszych ku powodzeniu wojsk rzeczpospolitéj, i z których najwyższą korzyść odnieść może. Proszę o zawieszenie kary śmierci na trzy dni; trzy dni takiego życia nie są łaską, są męką przedłużoną, którą jednak chętnie zniosę dla dobra rzeczypospolitéj.“

Konwencya, wziąwszy na uwagę list ten, udzieliła trzech dni przewłoki, i wysłała z łona swego dwóch komisarzy, obywateli Drouet i Bouret, do wysłuchania obwinionego. Udali się zaraz do więzienia la Conciergerie. Gdy ich Miączyński zobaczył, jako i list w jego imieniu napisany, okazał wielkie pomięszanie i zadziwienie. Po kilku atoli chwilach wahania się, uznał, jakoby ten list był od niego; a co do przyrzeczonych objawień począł mówić różne rzeczy, z których jednak nic wyciśnić nie było można; obwinił kilka osób dosyć znakomitych; lecz, gdy te stawione z nim były, jąkał się i mięszał. Toż samo działo się przez wszystkie trzy dni, lubo komissarze dozwolili mu pisać to, co miał do wyjawienia. Wykryło się nareszcie, iż list ów do konwencyi nie był jego ręki, ani wynalazku. Nieszczęśliwa żona, sądząc, że go tém wyratuje (ile że, jak nam mówiła, spodziewała się z Belgii ważnych dowodów i świadków na obronę jego), wymyśliła ten fortel. Badana przez komissarzy, zarumieniła się mocno, przyznała się nawet do winy, niechcąc tylko wymienić tego, który na jéj żądanie list napisał.

(Koniec nastąpi.)



Trembecki.

Kilka słów o Trembeckim.

Zdarzyło mi się przed kilku miesiącami widzieć Polkę, która w pierwszéj swojéj młodości znała Trembeckiego. Łatwo pojąć, jak starannie wypytywałem ją o wszystkie szczegóły, tyczące się naszego poety, których tém bardziéj byłem ciekawy, że tak mało nam dotąd o nich powiedziano. Niewiele i ja dodam nowego, przecież i to kiedyś do wypełnienia obrazu posłużyć może; szkoda tylko, że ani tego dowcipu powtórzyć, ani słów moich w te lotne wdzięki rozmowy przystroić nie zdołam, które zwykle niewieście umilają opowiadania. Wiadomość, któréj mi udzieliła, była następująca.

„Ujrzałam nagle w salonach Tulczyna człowieka na sześć stóp wysokiego, z twarzą pełną wyrazu i powagi. Ubiór jego był francuzki, włosy w tył zaczesane, które w dni świetniéjsze w czarny z tyłu ujmował woreczek (catogau). Niepospolita grzeczność oznaczała człowieka wyższych towarzystw świadomego, usta krasił uśmiech, lecz nieco złośliwy. Był to Trembecki, niegdyś do dworu i towarzystwa Stanisława Augusta należący. Z tego powodu pobierał pensyą od Rossyi, która przecież swobodnego nie zabezpieczała mu bytu, i ztąd widział się zmuszonym do przyjęcia mieszkania w Granowie, posiadłości xięcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, o cztery mile od Tulczyna leżącéj. Ztamtąd to Trembecki pisał do Jana Potockiego o pożyczenie mu książek, i wyjednanie przystępu do biblioteki tulczyńskiéj. Chętnie Felix Potocki, właściciel Tulczyna, skłonił się do życzeń poety; zaprosił go nawet do swego domu, gdzie liczne towarzystwo i księgozbiór otwarty, tyle dlań miały ponęty, iż wkrótce na dobre osiadł w Tulczynie, i już go do zgonu nie opuścił. Było to, jeżeli się nie mylę, 1802 roku.

„Czytywano często razem w towarzystwie tulczyńskiém. Ulubionym wówczas poetą był Delil. Po odczytaniu każdéj pieśni ziemianina francuzkiego, co przez kilka wieczorów trwało, Trembecki powtarzał nam z pamięci całe pieśni Zofiówki, nad którą właśnie pracował. Nie słyszałam przecież, aby przez te 7 czy 8 lat, które przebawił w Tulczynie, jakąkolwiek bądź inną poezyą ułożył. Zdaje się, iż z ostatnim wierszem Zofiówki, lutnia jego na zawsze zamilkła. Trembecki namiętnie lubił karty, i codzień wieczorem przybywał do pałacu, gdzie zawsze sobie znalazł kogoś do grania. W niedostatku podobnéj osoby, brał się do szachów, w których tak był mocnym, że zawsze wygrywał, wyjąwszy, gdy damę miał za przeciwnika; całą bowiem zalotność dawnego eleganta francuzkiego, aż do podeszłego wieku, zachował wiernie. Ze smutkiem wyznać trzeba, iż żadnych oznaków pobożności nie dostrzeżono w nim nigdy; nie bywał nawet w świątyniach. Brano go powszechnie za materyalistę. Lubił

mówić o swoich miłostkach i wziętości za młodu. Zachorowawszy mocno w 50-ym roku życia, opuszczony już nawet przez lekarzy, sam się najściślejszą uratował dyetą i od tego to czasu nie używał na pokarm nic takiego, coby, jak mówił, żyło; pił tylko wodę i mleko, mnóstwo kawy. Zwyczajną jego strawą były żółtka jaj, owoce i warzywa. Nie dotknął przecież nigdy grochu, ni fasoli.

Przekonanym był, że zachowując tę dyetę, dojdzie do 140 lat życia; utrzymywał nawet, że gdyby był od dzieciństwa takich tylko używał pokarmów, z pewnością byłby dosięgnął lat trzechset, jako kresu, który natura wiekowi ludzkiemu oznaczyła.

Takie wiódł życie Trembecki w czasie pobytu swego w Tulczynie. Dwa lata przed zgonem, podarował hrabiance Zofii Potockiéj wszystkie swoje rękopisma, w ogromnéj zamknięte skrzyni, z prośbą, aby ją dopiero po śmierci jego otworzono; gdyby się bowiem nieprzyjaciele dowiedzieli o treści pism jego, niezawodnieby go ukamienowali. Słyszałam nieraz uczone jego spory z Janem Potockim o początkach Sławian. Utrzymywał on, że Niemcy przywłaszczyli sobie sławę naszych najdawniéjszych przodków, a gdy Jan Potocki nalegał o udzielenie mu na piśmie tych domysłów historycznych, zawsze wymawiał się Trembecki: z resztą, mówił, znajdziecie po moiéj śmierci całą historyą polską od jéj początku aż do naszych czasów. Słowa te często bardzo powtarzane słyszałam. Szanowano wolą Trembeckiego, nie tknięto za ~~życia skrzyni~~; lecz natychmiast po zgonie jego rozkazała hrabina Potocka przynieść ją do sali, i otworzyć. Cała była zapełniona papierami, które przecież w takim były stanie, iż je koniecznie przewietrzyć musiano. Podjął się jeden z przyjaciół domowych przejrzenia tych pozostałości literackich Trembeckiego, lecz na nieszczęście zbyt lekko przesunąwszy się po téj pracy, oświadczył, iż nic zajmującego, nic ważnego nie znalazł; wielu przecież utrzymywało, że pewni amatorowie przywłaszczyli sobie wspomnione rękopisma, które niezawodnie znajdowały się w skrzyni. Nie można nakoniec przypuścić, aby człowiek tak uczony, wytrawiony i poważny, jak Trembecki, przez tyle lat, a zwłaszcza w uczonych sporach z Janem Potockim, żartował jedynie, i mistyfikacyą tę aż za śmierć swoją przedłużył.

Trembecki utrzymywał, że ściśle biorąc rzeczy, niema nic brudnego w naturze, wszystko bowiem jest tém, czém być powinno. Wierny téj zasadzie nie dozwalał nigdy służącemu zamiatania pokoju, a jeżeli dokazano tego, zawsze to było w jego nieobecności. Nie zapomnę nigdy wrażenia mego, gdym go z siostrami memi odwiedziła chorego. Miał na sobie szlafrok tak wypłowiały, że już ani śladu pierwotnéj barwy niemiał, podszyty zaś był skórą, która niegdyś była futrem. Leżał wyciągnięty na kanapie niesłychanie brudnéj, ogromne foliały mając przed sobą na stoliku, pod kanapą mebel nieodzowny: za wejściem zaś naszém, wzniosła się z posadzki taka chmura popiołu tytuniowego, że wszystkie przedmioty ćmiąc do koła, ledwie nas nie zadusiła.

Zapomniałam jeszcze dodać, iż podług zdania Trembeckiego, zwyczaj siedzenia, skraca nasze życie; człowiek bowiem w pierwotnym stanie stworzony tylko był do stania lub leżenia.

Oto jest wszystko, co o nim powiedzieć mogę: bardzo mało jest to zapewne, ale oko młodości roztargnione tylu przedmiotami, nie zawsze umie się zatrzymać na tych szczegółach, któreby dojrzalszemu nie uszły wzrokowi.

P. S. Nie odrzeczy może będzie dołączyć tu anekdotę, która, ile pomnę, dotąd drukowaną nie była. Znanym jest złośliwy dowcip Kajetana Węgierskiego, zbyt często boleśnie raniący. Trafił i on przecież na swego, a tym był Trembecki. Naprędce bowiem i dość miernie, dla poratowania swojéj kassy, przełożywszy Węgierski romans Woltera, podał go do druku. Czując słabość tłumaczenia, nie położył na nim imienia swego; wziętość przecież ówczasowa autora oryginału, powodowała wielu do nabycia przekładu. Zbiegały się więc zewsząd pieniążki do księgarza, a z tamtąd do Węgierskiego, radującego się w ciszy z tak obfitego plonu; gdy dnia jednego wieczorem, wróciwszy do siebie, zastaje pakiet na stoliku, w nim swój romans, a na pierwszéj jego karcie takie dwa wierszyki:

Próżno się pod zasłonę pióro twoje wkrada,
Co z kiepska po węgiersku z Woltera przekłada.

Wyimki z Dyaryusza podróży St. Augusta na sejm do Grodna odbytéj w roku 1784.

(Ciąg dalszy.)

Dzień wtóry Września.

Był dzień wyjazdu z Białowieży. Król Imć wezwawszy do siebie rano JJPP. Popiela, starostę Jaszab, Jagmina wiceadministratora ekonomii, tudzież Pułchowskiego, należącego także do dyspozycyi, pierwszego pierścieniem z cyfrą swoją brylantami kameryzowanym, drugiego złotą, perłami i emalią ozdobioną tabakierą, trzeciego zaś zegarkiem złotym udarował; kazał także rozdać 100 czer. złotych na myśliwców, a drugie 100 zł. na chłopów, do płoszenia zwierza użytych.

Przypatrowano się ubitéj na łowach zwierzynie, mianowicie żubrom (bo też to rzadki w Europie zwierz,) które miały długości prawie półszosta łokcia, a wysokości od stopy, aż do wierzchołka garbu na grzbiecie, więcéj niż trzy łokcie.

Po śniadaniu z zimnych i suchych potraw, udali się wszyscy za królem Imci w bliskie za dworem pole, gdzie wielkich czterech niedźwiedzi, z klatek wypuszczonych, psami szczuwano.

Zakończywszy to polowanie, Najjaśniéjszy pan pożegnał JX. Exnuncyusza, JWP. hetmanową W. Kor., hetmanową polną litewską, kasztelanową podlaską, i całą kompanią, wyjeżdżając na Krynicę do Szereszowa cugami xcia Imci Podskarbiego W. L., który przeprowadzał króla Imci aż do pół drogi, gdzie nowe tegoż xcia cugi były odmienione. W drodze z Białowieży do Szereszowa (dóbr xcia Imci Czartoryskiego gła. ziem. podol.) o ćwierć mili od tego miasta, xiążę Imć Sapieha, starosta, z urzędnikami i obywatelami województwa brzeskiego, wyjechał naprzeciw króla Imci, w mundur tegoż województwa ubranego, i z całą tą kompanią wprowadził do miasta, przed którém spotykali naprzód mieszczanie, a potém kahał, za karetą zaś królewską zwolna idącą, szło z radośnemi okrzykami pospólstwo, aż do pałacu.

Przyjęty był miłościwy pan od tychże samych obywatelów brzeskiego województwa. Gdy zaś wszedł do sali pałacowéj, mieli mowy (do bytności Najj. pana w témże województwie, tojest w Wałczynie urodzonego stósowane). JP. Wysłonich Podkomorzy, xiążę Sapieha starosta i JP. Buchowski chorąży, na które król Imć odpowiedzieć uprzéjmie raczył. Dano potém do stołu, do którego pomienieni urzędnicy zaproszeni byli. Wieczorem oglądał król Imć ogród, szedł pieszo do miasta, otoczony swym dworem, obywatelami i pospólstwem.

Dnia trzeciego.

Rano o godzinie wpół do dziewiątéj, wyjechał król Imć z Szereszowa do Kobrynia, dóbr swoich stołowych, gdzie przed miastem spotykany był od mieszczan, a potém od kahału, mającego na czele swego rabina, ofiarującego głowę cukru, niebieską materyą uwinioną, i bitemi ze srebra, oraz pozłacanemi literami hebrajskiemi napełnioną.

Dnia szóstego.

Wyjechał Najj. pan z Hutowa o godzinie 8. rannéj, udarowawszy gospodarza pierścieniem z swoją cyfrą, a dozórcę dworu złotym zegarkiem.

Jadąc przez Janow, (dobra JP. Kniaziów Szujskich po Krasickim chorążym nadwor. L. pozostałéj niegdyś wdowy, a teraz Orzeszkowéj Wojskiéj Pińskiéj) spotykany od JX. Laskowskiego, kanonika Łuckiego, proboszcza tamecznego tudzież od mieszczan i od kahaln, wstąpił tamże do dworu na śniadanie, po którém w dalszą puścił się drogę; przeprowadzany od JP. Wojskiego Pińskiego aż do granicy. Pomieniony zaś JX. kanonik, udarowany potém w Duboi został medalem złotym Merentibus, iż wiele szlacheckich dzieci swoim kosztem edukował.

Wyjechawszy Naj. pan za granice dóbr JP. Kurzenieckiego chorążego Pińskiego, Brodnica zwanych, zastał kolumnę murowaną z wyrytym Najj. pana w języku polskim i łacińskim witaniem. Dążąc daléj do Duboi (dóbr niegdyś jezuickich, a teraz wspomnianego JP. Podkom.) zajechał drogę o ćwierć mili gospodarz z całą swą familią, prowadząc Naj. pana przy odgłosie armat i muzyki przez wystawioną z różnemi napisami bramę do dworu swego dubojskiego, gdzie czekała licznie zgromadzona kompania obywatelów i obywatelek pińskich. Mężczyźni byli w mundurach, a damy, (na których czele była JP. marszałkowa matka, i JPanna marszałkówna, kanoniczka, siostra gospodarza,) miały na sobie roby białe i kokardę białą na piersiach, z twarzą i herbem królewskim wyszywanym; na wstędze zaś, były wyszyte te wiersze:

Pan szczęściem kraju, pan i nam ozdobą:
Obrazem piersi, serca zajął sobą.

Dano wspaniały obiad u dwóch stołów, a każdy na kilkadziesiąt osób; gdzie przy biciu z dział spełniano zdrowie Najj. pana. O godzinie piątéj wieczornéj było o ćwierć mili polowanie na sarny, lisy, wilki i rysie, potém szczwano wielkiego niedźwiedzia na dziedzińcu. O godzinie dziewiątéj nastąpiła illuminacya pałacu i ogrodu, w bramy, altany, i w galerye, kształtnie uformowanego, a potém piękny fajerwerk. Za powrotem do sali śpiewana była arya wierszami z muzyką od JP. Kurzenieckiéj Łowczanki. O godzinie dziesiątéj udał się Naj. pan do spoczynku, dla kompanii zaś dano kolacyą, po któréj nastąpiły tańce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przeciąg kaczek.

Znużony trudami dziennemi gospodarz w jesieni, szuka przynajmniéj na wieczór wytchnienia w zabawie, która, pokrzepiając siły, wynagradza przyjemnością za uciążliwe dzienne mozoły. Przy schyłku dnia, gdy słońce kona za górami, on z flintą i torbą na ramieniu, z wyżłem przy boku, spieszy, w gronie dobranych towarzyszów, pomiędzy góry i bagna, i tam czyha na przyciągnąć mającą kaczkę: tam szuka nagrody za podjęte trudy.

Słońce żegnając ziemię złotém uściśnieniem,
Z wolna za góry, lasy, zniża się, zstępuje,
Jakby ostatniem ptaków rozczulone pieniem,
Smutne, krwawym całunem pierś swoją osnuje!
W biegu dumając, stawa, i znów idzie daléj,
Lecz, jak kochanka, co się z swym lubym rozstanie,
Coraz to wolniéj, coraz kroczy opieszaléj,
I ze łzami powraca w swe puste mieszkanie!
Tak szło słońce, aż niknąc, ostatnie z za góry
Rozstrzeliło promienie w świat osierociały,
I tysiąc wieńców zdobi ponure lazury,
Tysiącem róż zakwitły ciemne wód kryształy!
W milczeniu staw potężny zatrzymał swe wały,
Na swoich barkach lotne pozawieszał łodzie,
I jak namiętny młodzian rumieni się cały.
Już coraz uroczystsze nastaje milczenie,
W oddaleniu brzmi jeszcze piosenka oracza,
Lub wracającéj trzody ponure dzwonienie:
Ale i to ucicha, tylko huk puhacza
Słychać gdzieś wpośród złomów starego zameczyska:
Gdy z nagła nawy dotąd spokojnie drzemiące
Zbudzą się i wiosłują w łozy, skał urwiska,
Z cicha, jak węże w trawach chyżo się wijące.

Na każdéj stérnik zbrojny — w inną spieszy stronę,
Poza krzewy i trzciny, aż wszyscy znikają
Jak mary, tylko trawki od wioseł wzruszone,
Jak gwiazdy ponad wody kryształem migają.
Znowu cichość ponura wśród srebrnych topieli;
Wtém zaszumi w powietrzu, jak granat, cyranka,
Buchnie w wodę i w tysiąc promieni rozstrzeli,
Które w obrazku zorzy, jako kwiaty wianka,
W różnych farbach padają na wodę zmąconą.
Za przewodniczką, warczą kaczek miliony:
Jak fletów smętne głosy, jednych dzwoni grono,
Inne ronią Eola harfy dźwięk pieszczony;
Aż wśród téj miłéj, słodkiéj wieczora muzyki,
Załysną, zagrzmią bronie myśliwców ukrytych.
Wszczyna się wrzawa, ptaków potrwożonych krzyki
Ponad ciałami braci zakłutych, pobitych,
Wyżłów szczekania, strzelców złowieszcze wołanie,
Wrzaski spłoszonych kaczek, gdzie niegdzie strzelanie,
Przedstawia żywy obraz zaciętego boju:
Kiedy wszystko zamilknie — znów chwila pokoju. B**.

Pieśni gminne.



Przez uwagi mąż żonę bije,
Niemasz takiego co pożałuje;
Przyjedź, przyjedź tatusinku,
Przyjedź, przyjedź serce moje,
Pożałujże mnie.

Tatusiek jedzie w cisowe wrota,
Czapka na uchu błyszczy od złota:
A mój zięciu, bijże dobrze,
Aż się skóra na niéj podrze;
Córka ladaco.

Przez uwagi mąż żonę bije,
Niemasz takiego co pożałuje;
Przyjedź, przyjedź matusinku,
Przyjedź, przyjedź serce moje,
Pożałujesz mnie.

Matka jedzie w cisowe wrota,
Chustka na szyi z samego złota.
Bijże zięciu, bijże dobrze,
Aż się skóra na niéj podrze;
Córka ladaco.

Przez uwagi mąż żonę bije,
Niemasz takiego co pożałuje;
Przyjedź, przyjedź, siostrulinku,
Przyjedź, przyjedź, serce moje
Pożałujesz mnie.

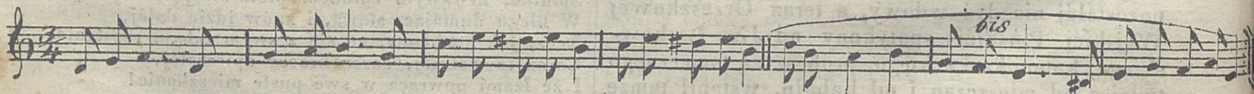
Siostrula jedzie w cisowe wrota,
Fartuszek u pasa z samego złota.
Bijże szwagrze, bijże dobrze,
Aż się skóra na niéj podrze;
Siostra ladaco.

Przez uwagi mąż żonę bije,
Niemasz takiego co pożałuje.
Przyjedź przyjedź bratusinku,
Przyjedź, przyjedź serce moje,
Pożałujesz mnie.

Braciszek jedzie w cisowe wrota,
Szabla u pasa z samego złota:
A mój szwagrze niedorosły,
Niebijże mi mojéj siostry.
Ty zginąć musisz.

Tędy owędy, niema którędy,
Ani oknem, ani drzwiami,
Wszędy stoją z szabelkami.

Ej żono, żono, pokłoń się bratu,
Żebym nie zginął z tego tu świata.
A ja tobie poprzysięgę,
Jakem cię bił, tak niebędę.



A mój ptaszku, krogulaczku, wysoko latasz;
Powiedzże mi nowineczkę, gdzie się obracasz?
Powiem ja ci nowineczkę, niebardzo dobrą,
Że ci twoją kochaneczkę do ślubu wiodą.
A niech wiodą, niech prowadzą, będę ja jéj grał;
Jeźlić mi ją Bóg naznaczył, będę ja ją miał.

I przyjechał, stanął za drzwiami,
I spojrzawszy na Kasiulę, zalał się łzami.
Ona idzie do ołtarza: drobno stąpając,
A jemu się serce kraje, na nią patrzając.
Ona idzie od ołtarza, gdyby modry kwiat,
I stanęła, zapłakała, zmienił jéj się świat
Na chusteczkę, otrzyj oczy, nie płacz tak wiele.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)